

Damian Dibben



MAM NA IMIĘ JUTRO



O psie, który zgubił swojego pana

ALBATROS



Prolog I

Pałac Elsynor, Dania 1602

Ta podróż przez wiele żywotów zaczęła się całkiem zwyczajnie: zbierałem razem z nim ostrygi na brzegu. Lubił je bardziej niż jakiekolwiek inne jedzenie, uwielbiał rytuał otwierania szorstkich muszli, by odkryć ukryty w ich wnętrzu skarb, gładki alabaster i niematerialny płyn. Kiedy się nimi zajadał, ulegał fizycznej przemianie: opuszczał ramiona, przestawał marszczyć czoło, a jego oczy łagodniały, czasami bliskie łez.

– Będziemy dziś mieli szczęście – powiedział, wkładając buty. – Poziom wody podczas tego odpływu jest wyjątkowo niski. Tak niski, że moglibyśmy niemal przejść do Szwecji. – Zdjął z wieszaka pelerynę, strzepnął ją i związał pod szyją, przerzucając cały jej ciężar na plecy. – Mam też przeczucie... – Odrygłował zasuwę u drzwi i otworzył je na całą szerokość. – Tak, jest jeszcze całkiem jasno. – Gdy uświadomił sobie, że za nim nie idę, zatrzymał się i odwrócił, przekrzywiając głowę. Jego sylwetka rysowała się w drzwiach niczym znak zapytania. – Gdzie jesteś, mój czempionie?

Do tej pory na wspomnienie jego głosu – miękkiego i łagodnego jak leśny wąż – serce pęka mi na pół niczym pusta łupina.

Stałem w cieniu, ukryty do połowy za grubymi nogami stołu w wielkiej sali. Można by sądzić – z odległości połowy kontynentu i kilku wieków – że gnębił mnie niezrozumiały lęk, ponure przecucie tego, co znajdziemy na mulistych równinach w dole, ale w rzeczywistości nie odczuwałem niczego podobnego. Nie powstrzymywała mnie też bezczelność ani ślepy upór: wtedy nie znałem jeszcze tych cech. Nie, kierowały mną znacznie bardziej przyziemne powody. Szukaliśmy już ostryg rankiem, a zbliżał się wieczór. Nastął czas, by rozpalić w kominku w wyłożonym boazerią salonie albo w pałacowej bibliotece, bym usiadł obok niego i poczuł przyjemne ciepło opływające moją sierść, podczas gdy mój pan będzie przeglądał księgi i przemawiał do mnie łagodnym tonem.

Odnalazł mnie w cieniu, a kąciaki jego oczu zmarszczyły się lekko w uśmiechu.

– Hej, w czym problem? – Podeszedł do mnie, uklęknął i zmierzwił mi sierść na karku, a ja zadrżałem ze wstydu. – Do czego dojdziemy w życiu, jeśli będziemy się chować po kątach? Tylko w świecie na zewnątrz znajdziemy odpowiedzi. I radość. I ostrugi, mój czempionie.

Roześmiał się, wstał i ruszył do wyjścia. Tym razem poszedłem za nim.

Na zewnątrz od razu poczułem się lepiej. Ciepły wiatr niósł ze sobą zapachy z wyspy, słodki aromat sosny, rozrzutki i dzikiego tymianku. Uświadomiłem też sobie, że do zmroku jeszcze daleko – łagodne, różowoczerwone słońce dopiero

zniżało się nad horyzontem. Wyprostowałem grzbiet i na-
stawiłem uszu, przez chwilę wodząc wzrokiem od murów
zamku do otwartego morza. W tym czasie nie znałem jesz-
cze żadnych innych miejsc prócz miasteczka Elsynor i tutej-
szego zamku. Nie przeczuwałem nawet, że zostanę tułaczem,
wędrującym od pałacu do pałacu, a potem od pola bitwy do
pola bitwy. Pamiętam jednak, że tamtego wieczoru byłem
wdzięczny losowi za mój dom, mojego towarzysza i szczę-
śliwe życie.

Wyczuł zmianę w moim nastroju i znów się roześmiał.

– Więc wróciłeś do mnie, mój wirtuozie, który nie masz
niczego prócz wrażliwości? – Podniósł wiaderko i wylał z nie-
go deszczówkę, po czym razem zeszliśmy po kamiennych
schodach prowadzących na brzeg. – Spójrz, mój czempionie,
morze prawie całkiem nas opuściło! Jak miło z jego strony, że
zechciało się podzielić swoimi skarbami.

Przed nami rozciągała się bezbrzeżna równina srebrnego
wilgotnego piasku, która niknęła w odległym zamglonym ho-
ryzoncie.

Już po chwili znalazł skupisko muszli, przykucnął, wyjął
z kieszeni nóż i oddzielił jedną od reszty. Zważył ją w dłoni
i obejrzał ze wszystkich stron, mrużąc raz jedno, raz drugie oko.

– Może jest wobec nas trochę zbyt nieśmiała? A może to
my jesteśmy zbyt szorstcy.

Wyciągnął muszlę w moją stronę. Nie przepadałem wtedy
za ostrygami, tak jak i nie przepadam dzisiaj – ich słonawy
smród zawsze zatyka mi nozdrza – ale z czystej uprzejmości
przesunąłem obok niej pyskiem, na co on znów zareagował
rozbawionym chichotem.

– Zgadzam się całym sercem. To małeństwo. Zwrócimy ją rodzinie i będziemy jej życzyć powodzenia. Chodźmy dalej. Poszukajmy odważniejszych, soczystszych, takich, jakie naprawdę uwielbiam.

Ruszyliśmy dalej, w głąb morza. Piasek pod naszymi stopami zrobił się twardszy, zimniejszy i wilgotniejszy, niczym nie do końca zastygły beton. Zmieniła się również pogoda: z północy nadciągnęła chłodna bryza. Wydawało się, że pozbawiła kolorów słońce i niebo, którym nadała taki sam srebrzysty, jednolity odcień jak odsłoniętemu dnu, tym samym zacierając kontury. Wyglądało to tak, jakbyśmy trafili do jednej z tych scenografii operowych, które widziałem w późniejszych etapach swojego życia – alternatywny świat zamknięty w obramowaniu sceny, w gwałtownie kurczącej się perspektywie, gdzie dwie postacie wędrują przez bezkresny krajobraz.

Nim mój pan znalazł większe ostrygi, zaczął je odcinać i wrzucać do wiadra, nastrój znowu mi się odmienił. Spojrzałem na pałac. Wydawał się ponury, pozbawiony życia. Prócz okien komnat położonych blisko kuchni w całym budynku zalegały ciemności. Większość królewskiego dworu wyjechała stąd na zimę. Choć mój pan starał się trzymać mnie z dala od dworskiego zgiełku, gdy król jeszcze tu przebywał, bo byłem wtedy niezdarnym szczeniakiem, cieszyła mnie atmosfera zabawy wypełniająca główny budynek, nieustanna krzątanina, zapachy potraw, radosne piski bawiących się dzieci, głosy służących i szambelanów, dźwięki lutni i klawesynów, wybuchy śmiechu. Teraz prócz starej królowej – dla której został tu mój pan, na wypadek gdyby się rozchorowała – w zamku mieszkali tylko najposempniejsi członkowie służby: srodzy strażnicy,

praczki ukryte zawsze za rzędami suszących się tkanin, nocni dozorczy z wielkimi pękami kluczy. Odwróciłem się ponownie do mojego pana w nadziei, że skończył już pracę, lecz on stał wyprostowany jak struna, z szeroko rozpostartymi rękami. U jego stóp leżało na boku porzucone wiadro.

– Tsss... – syknął, gdy podbiegłem do niego.

Wypowiedział to tak ostrym tonem, że odruchowo położyłem uszy po sobie, zastanawiając się, czy zrobiłem coś złego. On jednak wbijał wzrok w kamienną wysepkę, znajdującą się w pewnej odległości przed nami. Zwykle kryła się pod wodą, lecz wyjątkowo duży odpływ odsłonił ją teraz całą. Silniejszy podmuch wiatru na moment wydał skałę z jednej strony, nadając jej kształt półksiężyca. Wystraszony, spojrzałem na swego pana, on jednak niczego mi nie wyjaśniał ani nie próbował nawet mnie uspokajać. Wciąż nie odrywał wzroku od kamienia. Wiatr pochwycił ze świstem drobiny piasku i poniosł je w naszą stronę. Bok skały znów nabrał pełniejszych kształtów, tym razem jednak zrozumiałem, że w rzeczywistości porusza się ukryty za nią przedmiot: żagiel.

– Kto tam?! Kto tu jest?! – zawołał mój pan surowym tonem, a ja szczechnąłem. Mocno ujął w dłonie moją głowę. – Cichutko, słyszysz? Ani mru-mru.

Ruszył naprzód, zbliżając się ostrożnie do skały, aż zobaczyliśmy ukryty za nią wrak: łódź leżącą na burcie, z żaglem rozciągniętym między masztem a rufą i z wielką dziurą w dolnej części kadłuba. Kolejny silny podmuch wiatru tym razem przyniósł ze sobą kwaśny smród amoniaku, który podrażnił mi nozdrza.

Na piasku leżały dwie przewrócone skrzynki, jedna cała, druga rozbita na mniejsze części. Z jej wnętrza wysypały się

kolorowe jak tęcza szklane fiołki. Mój pan odwrócił nieuszkodzoną skrzynkę, starł błoto z osłony zamka i niemal podskoczył ze zdumienia.

– Z Opalheim. – Spojrzał na mnie, dziwnie mrużąc oczy. – Płynął z Opalheim.

Później słyszałem tę nazwę wielokrotnie i zawsze towarzyszyło temu poczucie nieuchronnej potężnej katastrofy. Herb ukazywał trzy wieże z blankami pod sierpem księżyca. Mój pan przesunął dłońmi nad kolorowymi buteleczkami, ale nie podniósł żadnej z nich. Wyglądały tak samo jak pojemniki, które trzymał w swojej pracowni, wypełnione różnymi proszkami lub metalami.

– Kto tam jest, pytam?! – zawołał ponownie, tonem, który później poznałem jako jego bitewny głos, odpowiedziało mu jednak tylko skrzywienie lin, trzepot żagla i charakterystyczny ostry zapach rozkładu.

Wtedy znałem już woń za sprawą martwych mew czy szczurów, ale nigdy jeszcze nie była tak mocna i tak wyraźna. Mój pan również musiał ją poczuć, bo dłonie mu zadrżały, a nad jego ciałem uniosła się ledwie wyczuwalna woń strachu. Obeszliśmy łódź i zobaczyliśmy trupa leżącego po drugiej stronie, z nogami wpłatanymi w liny i podniesionymi w kierunku masztu, a tułowiem i głową zanurzonymi na poły w mule. Kiedy łódź poruszała się lekko do przodu i do tyłu, smagana wiatrem, ciągnęła za sobą bezwładne ciało. Mój pan potarł dłonią policzek, naciągając skórę.

– Co mamy zrobić, mój czempionie? – rzucił do mnie, a potem nieco ciszej, z nutą nadziei, jak mi się wydawało, spytał trupa: – Więc teraz jesteś martwy, tak?

Wziął się w garść, wyprostował ramiona, podszedł do ciała i odwrócił je na plecy. Jego twarz natychmiast się wypogodziła, z oczu zniknął strach, a z ust wyrwało się westchnienie, które zabrzmiało jak śmiech, choć nie wiedziałem, czy był to wyraz ulgi, czy rozczarowania.

– Kurier – powiedział. – Kiedy zobaczyłem intaglio, trzy wieże, pomyślałem... A to tylko kurier. Biedak. Utonął. Kurier, który wiozł dla mnie przesyłkę, to wszystko. Zamawiałem te rzeczy tak dawno, że niemal o nich zapomniałem. – Znów ten dziwny śmiech. – Ten sztorm, pamiętasz? Kiedy to było? Tydzień temu? To tylko posłaniec wiozący mój stary zbiór medykamentów, biedaczysko.

Stałem tak blisko trupa, że smród zatykał mi nozdrza i gardło. Topielec wyglądał okropnie, jego twarz i piersi były monstrualnie rozdęte, na rozwarstwionej skórze rysowały się ciemne linie żył. Z białych ust wystawał czarny jak węgiel język, a oczy przypominały jasnoszare szkło.

– Co z nim zrobimy? – spytał mój pan. Spojrzał na fale, które już pojawiły się w oddali. – Jeśli zaciągniemy go do wody, przypływ i tak wyrzuci go na brzeg. To nie jest dobry koniec dla człowieka. Nie dla dobrego człowieka. – Otrząsnąwszy się ze strachu, znów był spokojny i pragmatyczny, taki, jakim zawsze go znałem. – Postąpię jak Rzymianie. – Zerknął na słońce, które już w połowie skryło się za horyzontem. – Szybko, mój drogi, wkrótce będzie ciemno.

Ruszył pospiesznie w stronę domu, lecz ja zostałem przy zwłokach, zdjęty obrzydzeniem i fascynacją jednocześnie. Trup był nieżywy w prawdziwym tego słowa znaczeniu, nie oddychał, ale wydawało się, że w pewnym sensie istnieje z więk-

sza siłą niż ludzie, których dotąd spotkałem. Może dlatego, że rozkład jest najbardziej zjadliwą formą życia, a może dlatego, że nic nie mówi o fenomenie „bycia” dosadniej niż jego brak.

– Nie zostawaj z tyłu! – dobiegło mnie wołanie mojego pana, niesione wiatrem.

Był już w połowie drogi do domu, jego peleryna kołysała się z boku na bok, gdy omijał kałuże. Pobiegłem za nim.

Otworzył ramieniem drzwi i wpuścił mnie do środka.

– Poczekaś na mnie tutaj, jasne?

Posłuchałem go, choć niechętnie, i zatrzymałem się w nieoświetlonym holu, podczas gdy on poszedł w głąb korytarza. Chciałem się położyć, lecz podłoga była zimna, przysiadłem więc tylko i zacząłem strzyc uszami, wsłuchując się w brzęk metalu i skrzypienie drewna dochodzące z pomieszczenia na buty. Po chwili mój pan powrócił, niosąc ciężki słój oraz hubkę i krzesiwo. Kiedy mnie mijał, poczułem zapach oliwy do lamp i łoju.

– Czekaj tu, zaraz wracam – rzucił w moją stronę i zatrzasnął za sobą drzwi.

Serce podeszło mi do gardła. Słyszałem kroki zmierzające ponownie ku plaży. W holu zrobiło się jeszcze ciemniej. Chodziłem od ściany do ściany, tłumacząc sobie, że nie ma się czego bać, że mój pan wkrótce wróci do domu i wszystko będzie dobrze – lecz strach wciąż narastał. Zerknąłem na posąg stojący u podstawy schodów, do którego czasami przemawiał mój pan, starą figurę ogara o smutnych oczach, wyrzeźbioną w marmurze (to niezwykle, że ludzkie dłonie ukształtowały tak udanie tę wychudzoną sylwetkę); ogar miał łeb zwrócony ku zbliżającemu się z tyłu mężczyźnie w łachmanach. „Dzień

dobry, Argosie – mówił mój pan, głaszcząc kamienną głowę psa. – Naprawdę bardzo cierpliwie czekałeś na jego powrót”.

Musiałem zobaczyć, co robi mój pan, przemknąłem się więc bocznymi drzwiami do głównej części pałacu i wbiegłem po schodach na długą galerię. Byłem tu już kiedyś, latem, gdy budynek tętnił życiem. Teraz zaludniały ją tylko posągi.

Wskoczyłem na krzesło i oparłem się o parapet, znad którego rozciągał się widok na morze. Dostrzegłem mojego pana, ciemną sylwetkę przesuwającą się po nieruchomej srebrzystej połaci odsłoniętego dna. Zatrzymał się tuż za skalną wysepką i przez chwilę kręcił się wokół wraku łodzi, a potem w górę wystrzelił złoty płomień. Jego blask skrzył się w szybie okna. Mój pan palił ciało. Pamiętam wciąż – zupełnie jakby to było wczoraj – że gdy ogień płonął z największą mocą, strach skręcał mi wnętrzności.

Mój pan czekał cierpliwie, aż płomienie przygasną, i dopiero wtedy ruszył z powrotem do domu. Zeskoczyłem na podłogę i spojrzałem na zgromadzone dokoła posągi: brodatego kolosa walczącego z morskim potworem, młodą damę na szezlongu, sięgającą po lirę, i starego mędrca z otwartą księgą w dłoniach. Wieczorny mrok zniekształcał ich kontury, sprawiając wrażenie jakiegoś potwornego życia. Wisiały tu też obrazy, jeszcze bardziej sugestywne podobizny ludzi, pozory stworzone za pomocą płótna i farb: szlachcic w płaszczu z futrzanym kołnierzem, z pustułką na ramieniu, stara kobieta wciśnięta w karminową suknię, młodzieniec ubrany na czarno, trzymający w dłoni czaszkę. Wtedy, dawno temu, miałem dopiero odbyć liczne podróże, poznać majestat i grozę miast, zobaczyć wojnę na własne oczy – poczuć smród gorącego me-

talii i rozlanej krwi – czy też stracić drogiego mi przyjaciela. Miałem się też przekonać, jak mijają kolejne stulecia, kiedy ja wciąż żyję. To miało dopiero nadejść. A jednak w tamtej chwili, pośród tych upiornych postaci, odczuwałem w jakiś sposób ciężar tych wszystkich rzeczy. Noc wypełniła komnatę mrokiem, a moje serce przerażeniem – aż w końcu usłyszałem, jak mój pan wchodzi do zamku. Popędziłem co sił w nogach na dół, przesadzając po dwa stopnie naraz. Mój pan włożył do jednej ze skrzynek kolorowe fiolki, które leżały rozrzucone na piasku, i teraz postawił ją ostrożnie przy drzwiach. Skoczyłem ku niemu, witając go radosnym szczekaniem i próbując polizać po twarzy.

– Ileż to zamieszania! Jakież zamęt – powiedział, choć on również zdawał się wystraszony.

Przeszedłem za nim do pomieszczenia na buty i obserwowałem w półmroku, jak myje ręce, potem zaś udaliśmy się obaj do salonu, gdzie zapalił świece i zamknął okiennice. Nim zatrzęsnał ostatnią z nich, znieruchomiał na moment i spojrział w stronę skalnej wysepki, jakby wciąż obawiał się tego, co mógłby tam odkryć.

– Wszystko będzie dobrze, prawda? – spytał, klękając i ujmując w dłonie moją głowę. – Jesteśmy zadowoleni z naszego życia, prawda?

Ton, jakim wypowiedział te słowa, jego gwałtowna intensywność, na nowo rozbudził we mnie niepokój. Od razu pomyślałem o zwłokach, o tłuszczu trawionym przez ogień i czerniejących w żarze kościach. Pomyślałem o posągach i obrazach w mrocznej pałacowej galerii – o brodatym kolosie, półleżącej damie, młodzieńcu z czaszką – i odniosłem wrażenie, że wszy-

scy oni również należą do świata zmarłych. Dopiero gdy mój pan rozpałił ogień w kominku i obaj rozsiedliśmy się w bijącym od płomieni ciepłe – on na fotelu, a ja u jego stóp – dopiero gdy rozgrzał się kamień pod moim ciałem, serce zaczęło mi się uspokajać.

– Nie! – powiedział nagle, po czym usiadł prosto i rozejrzał się. Podniosłem głowę ku drzwiom, ciekawy, co takiego usłyszał. – Ostrygi. – Westchnął. – Zostawiłem je na plaży. I nasze wiadro też. Przypływ je zabierze. – Wzruszył ramionami i opadł z powrotem na fotel. – Nieważne. Jutro znów się tam wybierzemy. Może znajdziemy jeszcze ładniejsze sztuki.

Obserwowałem go kątem oka, gdy zasnął, a ręce osunęły mu się bezwładnie. Dopiero wtedy przypomniałem sobie jego dziwne zachowanie na plaży. „Więc teraz jesteś martwy, tak?”, spytał dziwnym głosem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszałem. Zastanawiałem się, kogo oczekiwał.

Wkrótce miałem się dowiedzieć.

Prolog II

Whitehall, Anglia, pięć lat później

Czekaliśmy w zimnej stróżówce, aż wyszła nam na spotkanie kobieta w średnim wieku.

– Tak? – spytała ostrym tonem.

Była chuda jak patyk i cała ubrana na czarno, w dłoni ścisnęła wielki pęk kluczy.

Mój pan zdjął czapkę i uśmiechnął się.

– Naprawdę mnie pani nie pamięta?

Kobieta w czerni aż zachłysnęła się ze zdumienia.

– Niemożliwe. Znikający lekarz.

Mój pan ponownie obdarzył ją uśmiechem.

– Wybacz, Margaret, że posłałem właśnie po ciebie, ale odkąd byłem tu ostatnio, minęło ładnych parę lat, więc nie wiedziałem, czy został jeszcze ktoś z tamtych czasów.

– No tak, ja zawsze tu zostaję. Jeśli mnie zabiorą, to dopiero w trumnie. – Spojrzała z niedowierzaniem na mojego pana. – Ile to już minęło lat? Czternaście?

– Dwadzieścia dwa.

Kolejne, pełne zdumienia westchnienie.

– Kłamiesz. Nic się nie zmieniłeś, a ja jestem starą panną.

– Bzdura, bzdura.

Śmiech.

– Tym razem masz towarzysza, tak? – Spojrzała na mnie i odruchowo pomachałem ogonem. Od razu ją polubiłem: biła od niej energia. – Proszę, jaki przystojny młodzieniec. I wygląda, jakby cały czas się uśmiechał.

– O tak – przyznał mój pan. – Uśmiecha się bez przerwy, ten mój czempion. Ma uśmiech dla każdego.

Komplement sprawił, że zacząłem machać ogonem dwa razy szybciej.

– Ponad dwadzieścia lat, naprawdę? – Margaret westchnęła. – Ależ ten czas leci... Gdzie to cię nosiło?

Mój pan przygryzł lekko wargę, jak zawsze gdy zastanawiał się, co ma powiedzieć.

– Przyjechałem... Przyjechaliśmy z Danii. A wcześniej mieszkalem we Florencji. Przez chwilę też w Madrycie. I jeszcze w innych miejscach. – Wzruszył ramionami. – Życie to niekończąca się podróż, prawda?

Nie wiem, czy Margaret się z tym zgadzała, ale uśmiech nie opuszczał jej twarzy.

– A teraz?

– Whitehall? Jeśli jest tu zapotrzebowanie na moje skromne usługi. Może trudno w to uwierzyć, ale stęskniłem się za Londynem.

Margaret nie kryła radości.

– Mogłabym się z tobą trochę podroczyć, ale nie będę tego robić. Bardzo brakowało mi twoich lekarstw, a teraz po-

trzebuję ich bardziej niż kiedykolwiek. Znajdę ci pracę. Co prawda mamy nową dynastię, ale jak pewnie zauważyłeś, nadal noszę klucze. Wejdźcie, ty i twój sympatyczny towarzysz, ten ziać jest okropny.

Gestem wskazała, byśmy przeszli dalej, ale mój pan zawa-
hał się na moment.

– Powiedz mi najpierw: czy ostatnimi laty szukał mnie tu pewien dżentelmen?

– Dżentelmen?

– Pytam z czystej ciekawości, bo nie spodziewam się, żeby tu zaglądał, ale ty zawsze wiedziałaś o wszystkich odwiedzinach...

– Nie przypominam sobie nic takiego. To jakiś problem?

– Nie, wcale nie. – Choć mój pan sam poruszył ten temat, teraz chyba tego żałował. – To mój były partner w interesach, sprzed wielu lat, aptekarz jak ja.

– Jeszcze jeden aptekarz? Ekscytujące. Jak wygląda?

– To naprawdę nieistotne. Odwiedził mnie tutaj kiedyś, dawno temu, więc pomyślałem, że może go pamiętasz, ale... wybacz. To była długa podróż. Jestem okropnie zmęczony. I masz rację, rzeczywiście jest okropnie zimno. Prowadź, proszę.

Margaret przeprowadziła nas przez czworokątny dziedzi-
niec. Pałac w Elsynorze wydawał się skromny w porównaniu
z Whitehall, który przypominał wielką jasną górę holi, wież,
kolumnad, okien z kolorowymi witrażami i dachów zdobio-
nych tysiącem kwiatonów.

– Oczywiście słyszałaś wieści, prawda? O królowej. To już cztery lata, a ja mam ciągle wrażenie, że zaraz tu wpadnie

i nawrzeszczy na mnie. – Zniżyła głos do szeptu. – Może gdybyś był wtedy na dworze, ona nadal by żyła. Nie chciała słuchać, kiedy odradzaliśmy jej stosowanie cerusytu. To właściwie on ją zabił. Nie muszę ci chyba mówić, że jej śmierć wyglądała jak koniec jakiejś ponurej, niesamowitej sztuki. Kazała usunąć wszystkie lustra w pałacu Richmond i leżała przez całe dni na usłanej poduszkami podłodze, trzymając palec w ustach, jak małe dziecko. Nie zdejmowała też ani na chwilę tej swojej groteskowej peruki. W końcu powiedziała: „Nie chcę już dłużej żyć, pragnę umrzeć”. I tak zrobiła.

– Nie da się o niej łatwo zapomnieć.

– To prawda. No a potem ta historia z zeszłego listopada. Słyszałeś o tym?

– Różne wersje.

Margaret przystanąła, rozejrzała się i wzięła mojego pana za rękę.

– Brak słów, po prostu brak słów. – Biła od niej żywiołowa radość, odświeżające antidotum na surową posępność Elsynoru. Idąc dalej, przez labirynt korytarzy i dziedzińców, opowiadała przyciszonym głosem: – To było naprawdę straszne. Znaleźli je w krypcie, trzy tuziny beczek, może nawet więcej. Czysty proch strzelniczy. Tutaj, prawie pod naszymi stopami. Potem zaczęły się śledztwa, straszne tortury, nakazy sądowe i procesy. Uczestniczył w nich sam król, ukryty za zasłoną. Wyobrażasz to sobie? Wszyscy na dworze byli okropnie zdenerwowani. Nikt nikomu nie ufał. A potem te egzekucje. Boże jedyny... Nie chodziłam na nie. Podobno gromadziły się tam całe tłumy, ludzie chcieli oglądać ćwiartowanie. Maka-

bra, makabra. Ale gdyby im się udało, tym spiskowcom? Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło. – Weszliśmy do komnaty, w której płonął ogień. – Rozstałeś się z nim w niezgodzie, tak?

– Z kim?

– Ze swoim współnikiem. Wiem, jak zaczynają się takie spory. Dwaj szklarze ze Strandu pokłócili się o recepturę, aż jeden z nich trafił ostatecznie do Newgate. Skradziono jakieś sekrety? – zapytała podekscytowana. Mój pan zmarszczył brwi. – Biedaku, nie będę wyciągać z ciebie tajemnic. Straszna ze mnie plotkara. Poczekaj tutaj, ogrzej się trochę. – Wahała się przez chwilę. – Mój znikający lekarz i jego uśmiechnięty pies. To zdumiewające, jak mało się zmieniłeś – dodała, po czym opuściła komnatę.

*

– Pokaż mi się – rozbrzmiał męski głos.

W komnacie, do której nas wprowadzono, panował półmrok i było tu tyle ozdób i ornamentów, że nie zauważyłem mężczyzny siedzącego w rogu. Nad wymyślną koronkową kryzą widniała jasna plama szerokiej, nalanej twarzy, oczy o ciężkich powiekach i rzadka broda. Miał piękną szatę z aksamitu, układającą się w skomplikowane fałdy, ale roztaczał dokoła kwaśną woń zepsutego sera. U jego stóp leżała suka, wilczarz. Popatrzyła na mnie, a ja pozdrowiłem ją machnięciem ogona. Zmierzyła mnie tak pogardliwym wzrokiem, że aż się zawstydziłem.

Mój pan postąpił krok do przodu.

– Panie...

Mężczyzna, król Jakub, jak się wkrótce dowiedziałem, spojrzał na pergamin, który podał mu mój pan. Zapisał go swym równym pochyłym pismem, kiedy płynęliśmy przez Morze Północne.

– Pracowałeś we wszystkich tych pałacach?

Król seplenił lekko, jakby język nie mieścił mu się w ustach. Jego dłonie pokrywała warstwa brudu, tylko czubki palców zachowały naturalny kolor.

– Na różnych dworach europejskich. I tutaj, w Whitehall, także. Służyłem sześć lat twojej kuzynce, panie, królowej.

– Więc znasz ten pałac lepiej niż ja. Chemia? Czy to magia, której używają czarownice? Żeby przywoływać burze z powietrza?

– Z całym szacunkiem, panie, ale to nie jest chemia. Chemia to nauka. Rozsądna i logiczna. Nie jestem magikiem.

Król ponownie spojrzał na pergamin i uniósł brwi, zdumiony.

– W Persji też? Naprawdę?

– Tak, panie. W pałacu Ismaila w Tebrizie.

– W Persji? – powtórzył z niedowierzaniem. – Przecież to na drugim końcu świata. Tam już na pewno jest magia, prawda?

– Raczej matematyka. Persowie mają mądrość w kościach. Starożytną mądrość. Tam, przy jedwabnych drogach za pustynią, poznałem tajniki mojego rzemiosła lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

W kolejnych latach często słyszałem, jak mój pan opowiadał o Persji, Tebrizie i matematyce, i zawsze wtedy się rozpromieniał.

– Ile już przeżyłeś lat, żeby dorobić się takiego życiorysu? – spytał król.

– Pięćdziesiąt – odparł szybko mój pan, choć zabrzmiało to raczej jak pytanie. – Mniej więcej.

Król odsłonił w uśmiechu zęby, które podobnie jak jego dłonie straciły swą naturalną barwę. Podniósł się ciężko z fotela i ruszył w moją stronę. Nie był stary, ale chwiał się na nogach; wyglądał całkiem zwyczajnie, jak uliczny sprzedawca w eleganckich ubraniach. Przysunął dłoń do mojego nosa, pozwalając, bym ją powąchał. Z czystej uprzejmości wciągnąłem w nozdrza zapach atramentu i kału.

– Witaj w Whitehall – zwrócił się do mojego pana, dając mu w ten sposób znać, że rozmowa zakończyła się pomyślnie. – Ty i twój pies.

*

Mój pan nazywał Londyn „skrzynią z kostiumami”. Od tamtego czasu widziałem tyle innych miejsc, że łatwo mi zapomnieć, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie moja pierwsza prawdziwa metropolia. Długie pierzeje domów z dwuspadowymi dachami, każdy niczym osobny zamek, choć połączone ze sobą cudowną geometrią szkła. I całkiem nowy świat zapachów. Po ciemnych wędzarniach i połowach ryb w Elsynorze, po wszechobecnej woni malowanego drewna, tutejsze powietrze wydawało się przesycone egzotyką: cukrem, cynamonem, gałką muszkatołową, kawą i czekoladą. Oraz nowym zapachem, który nauczyłem się wkrótce rozpoznawać: zapachem pieniędzy.

Ludzie, którzy stukali obcasami po ciemnym bruku alej i kolumnad, także wydawali się wyjątkowi, pewni siebie i obcy. W modzie były wtedy ogromne kryzy, drogie tkaniny w stono-

wanych kolorach i wysokie, zwężające się ku górze kapelusze. Mężczyźni mieli brody, wąsy i długie włosy, które odgarniali do tyłu, wielu nosiło też krótkie płaszcze przerzucone przez ramię. Kobiety, wciśnięte w suknie z gorsetem i wysokim kołnierzem, były równie pewne siebie.

Podobnie jak w Elsynorze, mój pan zawsze uważnie obserwował nowo przybyłych. Kiedy byliśmy w naszych kwaterekach, a do portu wpływał jakiś statek, patrzył przez okno, kto schodzi na ląd. Jeśli słyszał obcy głos dobiegający z dziedzińca lub z sąsiedniego apartamentu, bacznie nasłuchiwał. Rozumiałem, dlaczego to robi: spodziewał się człowieka, którego to morze nie wyrzuciło na brzeg Elsynoru. Wydawało się, że oczy tego nieznajomego śledzą nas wszędzie, gdziekolwiek się udajemy, miałem nawet wrażenie, że unoszą się w powietrzu, gdy śpimy. Nie wiedziałem o nim nic poza tym, że jego przybycie mógł zwiastować herb przedstawiający trzy wieże pod półksiężcem.

Kilka lat po naszym przyjeździe do Whitehall wybraliśmy się w pewien zimowy dzień, razem z Margaret, na jarmark na Tamizie. Właściwie to był jej pomysł. Ona i mój pan byli przyjaciółmi, zawsze śmiali się i przekomarzali, często też prześiadali do późnej nocy, czytając książki przy blasku świec i podjadając marcepan, pierniki i inne słodkie. Wyczuwałem między nimi wzajemne przyciąganie, które wykraczało poza zwykłą przyjaźń. Mój pan należał do tego rzadkiego gatunku ludzi, którzy zachowują się w towarzystwie kobiet całkiem naturalnie, mają wrodzony wdzięk, wrażliwość i żywotność, wzbudzające uśmiech największych nawet ponuraków. Wydawało mi się, że towarzystwo Margaret dodawało mu jeszcze

więcej energii, więc podczas naszego pobytu w Whitehall zastanawiałem się, dlaczego nie pozwoli, by ich przyjaźń przerodziła się w coś innego: bo bez wątpienia to właśnie on do tego nie dopuszczał. Margaret zawsze wychodziła z inicjatywą, zawsze pierwsza wyciągała do niego rękę. Po kilku latach miałem w pełni zrozumieć jego zachowanie.

Tamiza zamarzła na całej szerokości, pokryła się warstwą lodu tak grubą, że konie i powozy mogły po niej jeździć od London Bridge do Westminsteru. Tu i ówdzie lód uwięził statki, których nagie maszty strzelały teraz w niebo. Tłumy ludzi, zaczerwienionych od mrozu i opatulonych po czubki nosa, kręciły się pośród różnych rozrywek – jak strzelnica, kręgle i huśtawki – a dzieci jeździły na łyżwach albo na sankach. Moi ludzcy towarzysze byli tym wszystkim bardzo podekscytowani, ale ja nie czułem się dobrze na lodzie, choć próbowałem to ukrywać. Po dziś dzień nie lubię zimnego lodu pod łapami, jego zapachu – który przypomina mi miętę – a przede wszystkim lęku, że lada moment może się podę mną załamać.

– Kupmy sobie kapelusze – zaproponował mój pan, zatrzymując się przy straganie. – Znam tego dżentelmena. *Maska królowych* to pańskie dzieło, prawda? – spytał straganiarza, który odpowiedział mu lekkim uśmiechem. – Ten człowiek jest geniuszem, Margaret, kapelusznikiem. Kupimy sobie po jednym.

– Nie, ja nie, ja nie – zaprotestowała Margaret, ale mój pan bez wahania kupił dwie sztuki i włożył jej na głowę kapelusz z kolorowymi piórami, sobie zaś turban z kawałkiem szkła udającym rubin.

– Ty będziesz królową Amazonek, a ja sułtanem z Arabii.

Było to tak zabawne, że szczebkałem głośno i całkiem zapomniałem o strachu przed lodem. Mój pan uwielbiał wkładać kostiumy. Zawsze gdy w pałacu pojawiali się aktorzy, chodził za nimi jak odurzony i zapominał języka w gębie, jeśli już któryś do niego przemówił. Pewnego razu odwiedził nas w Whitehall jakiś ponury dramatopisarz, który przez kilka godzin wypytywał mojego pana o jego pracę. A on, biedak, był podczas tej rozmowy tak oszołomiony, że z trudem wydobywał z siebie poszczególne słowa, ale potem przez kilka miesięcy chwalił się każdemu, kto chciał go słuchać: „Wiedziałeś, że pan Jonson pisze o mnie sztukę? Będę sławny na cały świat”. (Niestety, kiedy zobaczył sztukę, poczuł się tak zawstydzony historią o oszuście udającym alchemika, że wymknął się z teatru przed końcem przedstawienia).

Przeszliśmy dalej, by obejrzyć trupę artystów, którzy kręcili ósemki w rytm skocznej muzyki wygrywanej na skrzypkach. Mój pan zaczął przytupywać, jak zawsze, gdy chciał dołączyć do tańca. Uwielbiał tańczyć tak samo, jak się przebierać, choć moim zdaniem lepiej by dał sobie z tym spokój, bo zawsze był najgorszy na parkiecie. Kiedy jeden z mężczyzn odszedł na bok, zostawiając puste miejsce, pomyślałem, że on zaraz je zajmie – lecz coś na brzegu rzeki przykuło jego uwagę. Uśmiech opuścił nagle jego twarz, zsunął się niczym bryła śniegu spadająca ze stromego dachu. Nozdrza mojego pana się poruszyły, a z ciała wypłynęła dziwna woń – hysterii, jak mi się wydawało.

– Powinniśmy już wracać. To kiepska rozrywka.

Ruszył szybko przed siebie, nie sprawdzając nawet, czy idziemy za nim. Próbowiałem zobaczyć, co tak bardzo go wystraszyło, ale widok przesłoniła mi właśnie duża grupa ludzi.

Był tak zaaferowany, że poślizgnął się i wpadł na jedną z tancererek, aż straciła równowagę. Upadła, lecz mój pan nie przeprosił ani jej nie pomógł, co z pewnością zrobiłby w innych okolicznościach, tylko dalej parł naprzód.

– Szybko – warknął.

Upuścił swój turban, który już miałem pochwycić, gdy on znowu krzyknął do nas, byśmy się pospieszyli. Zabawa straciła nagle cały swój urok, a tłum wydawał się teraz hałaśliwy i nieprzyjazny, ja zaś znów zacząłem się obawiać, że łód załamie się pode mną, i mimo woli wyobrażałem sobie, jak ciemna i zimna będzie ukryta pod nim woda. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie nie było już takiego tłoku, mój pan zatrzymał się nagle i zaklął pod nosem.

– Dlaczego uciekam? Powinienem stawić mu czoła.

Margaret była zaskoczona i skonsternowana, gdy obrócił się do niej i spytał:

– Jak długo nas obserwuje?

Wtedy zobaczyłem samotną postać stojącą na stopniach przy brzegu, okrytą czarnym płaszczem, który odcinał się wyraźnie od bieli śniegu. Nieznajomy zszedł na łód i ruszył miarowym krokiem w naszą stronę. Nawet z daleka wyglądał imponująco: barczysty i pewny siebie, sunął po lodzie niczym łabędź, z inną prędkością i w inny sposób niż otaczający go tłum, jakby znajdował się w innej rzeczywistości.

– To ten dżentelmen, którego oczekiwałeś? – spytała Margaret, jak zawsze bystra. – Twój dawny wspólnik? Masz jakieś powody do obaw?

Mój pan nie odpowiedział, tylko przepchnął mnie za swoje nogi.

Nieznajomy zatrzymał się kilka kroków przed nami i rozłożył ręce.

– Więc znajduję cię właśnie tutaj, w Londynie?

Uśmiechał się z taką pewnością siebie, że aż przeszedł mnie dreszcz. Jego twarz kryła się niczym skarb pod szerokim rondem kapelusza ze strusim piórem i pod włosami – czarne jak atrament loki opadały mu aż na ramiona. Nie wyglądał na zmarzniętego i nie kulił się przed zimnem – jego twarz lśniła śródziemnomorskim blaskiem. Cały wręcz ociekał bogactwem: miał kaftan z jedwabiu i satyny w kolorze pruskiego błękitu, wysadzany perłami, szeroką kryzę z hiszpańskiej koronki (nawet najmodniejsi dworzanie dopiero za jakiś czas zaczęli nosić tego rodzaju kołnierze), buty z lakierowanej skóry, w której odbijał się zimowy krajobraz, a do tego łaskę ze złotym okuciem i naszyjnik ze szmaragdem. Ktoś inny mógłby w tym stroju wyglądać jarmarcznie albo zniewieściale, ale nie on. Mój pan, którego zawsze uważałem za przystojnego, pomimo wielkiego nosa, za dużych dłoni i niesfornej blond czupryny, przy tym mężczyźnie wydawał się co najwyżej przeciętny. Teraz zrobił krok do przodu, skłonił głowę i wypowiedział imię nieznajomego:

– Vilder.

Mężczyzna, który był nieco niższy od mojego pana, ale potężniej zbudowany, przez chwilę patrzył na niego w milczeniu, wypuszczając z nozdrzy kłęby pary i wyraźnie sycąc się jego zdenerwowaniem, nim wreszcie odpowiedział:

– Dobrze cię widzieć, panie. – Potem popatrzył w dół, na mnie, a spojrzenie jego lśniących czernią oczu omal nie przypawiło mnie o zawrót głowy. – Należy do ciebie? – spytał

mojego pana, po czym odwrócił się do Margaret i złożył jej lekki ukłon. – Mój były współnik uwielbia psy. – Przyjrzał się jej uważnie, wykrzywiając usta w cierpkim uśmiechu. – Podo-
ba mi się pani kapelusz.

Margaret całkiem zapomniała, że ma go na głowie. Z pewnością chętnie by się go pozbyła, zniosła jednak mężnie tę kpinę, lekko się tylko czerwieniąc i wzruszając ramionami. Na chwilę między trójką ludzi stojących na łodzie zapadło niezręczne milczenie.

– Ma pan za sobą długą podróż? – Głos uwiązał jej w gardle, więc odchrząknęła, nerwowo poprawiając kołnierz. – Skąd pan do nas przybył?

– Z gór Hunsrück w Nadrenii. Ze starego kraju.

Mówił uprzejmym tonem i uśmiechał się często, lecz jego słowa podszyte były lekką kpiną.

– Z Nadrenii. Z krainy bajek, czy tak? – spytała Margaret, dostosowując się do konwencji.

Odniosłem wrażenie, że Vilder nie należy do ludzi, którzy lubią gawędzić o niczym, ale tak czy inaczej odrzekł spokojnie:

– Byłbym gotów odbyć dziesięciokrotnie dłuższą podróż, byle tylko odszukać mojego starego znajomego.

Wydawało się, że mój pan waży w myślach słowa Vildera, jakby widział w nich jakieś ukryte znaczenia.

– Więc odbył pan długą i męczącą podróż? – znów odezwała się Margaret. – Rozumiem, że obaj panowie jesteście zafascynowani chemią, tak? Metalurgią i tego rodzaju sprawami? Skąd u pana takie zainteresowania?

Vilder spojrzał na nią z pogodnym lekceważeniem, po czym odparł:

– Moi rodzice mieli kopalnie, dawno temu. Odziedziczyłem je. Ponura branża. – Obrócił na palcu wielki szafir, w którym odbił się promień słońca.

– No tak, to ma sens, kopalnie i surowce, które można w nich znaleźć, jeśli chodzi o chemię, oczywiście. Ale mówię panu jak rodowity Anglik. – Uwielbiała gromadzić fakty, niczym sroka świedelka, ale jej uporczywość coraz mocniej mnie niepokoiła, podobnie jak mojego pana.

– Moja matka była Angielką. Na jej polecenie uczyłem się w kolegium Johna Balliola na Oksfordzie. – Szerokim gestem wskazał na mojego pana. – Studiowaliśmy tam razem, choć trudno by mnie nazwać przykładowym studentem.

– Ach, wszystko się wyjaśnia: wspólne interesy, studia w Oksfordzie...

Vilder przerwał jej, stukając łaską o lód.

– Z przyjemnością porozmawiam z panią dłużej przy innej okazji, ale na razie proszę nam wybaczyć... minęły wieki, odkąd się ostatnio widzieliśmy. – Ponownie wskazał na mojego pana, a policzki Margaret przybrały barwę gotowanej szynki.

Skinęła głową, mamrocząc jakieś przeprosiny, uniosła skraj sukni i ruszyła przed siebie, a gdy zorientowała się, że idzie w złą stronę, wróciła i oddaliła się zygzakiem, w swoim kapeluszu z papuzimi piórami.

Na chwilę zapadła między mężczyznami dziwna, magnetyczna cisza.

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu – przemówił w końcu mój pan. – W Elsynchronie już myślałem... – Przerwał, nie kończąc zdania. – Byłem ci bardzo wdzięczny, że zdecydowałaś mi wysłać moje specyfiki. Choć było mi też przykro,

że muszę ci odpowiadać tak ponurą wiadomością. Dostałeś ją? Znałeś tego biedaka, który utonął?

– Nie osobiście. – Vilder wpatrywał się w mojego pana niczym dzentelmen oglądający witrynę jubilerską. – Cóż, jak zauważyła ta dama, odbyłem długą podróż w tym paskudnym chłodzie. Zechcesz zaprosić mnie do swoich komnat? – Wskazał głową na Whitehall, uśmiechając się znacząco. – Na dwór szkockiego króla.

*

– Mogę zaproponować ci coś do picia? – spytał mój pan, gdy weszliśmy do komnaty.

Vilder rozejrzał się i zatrzymał wzrok na półkach pełnych szklanych buteleczek i fiolek, które mój pan zawsze gromadził w swoim miejscu pracy.

– Poproszę. – Vilder skinął głową. – Przygotuj mi jeden z tych swoich ożywczych balsamów. Brakowało mi ich. – Zdjął kapelusz, ale pozostał w płaszczu.

Próbowałem przyjrzeć się uważniej jego twarzy, ułożyć w całość fragmenty, które dostrzegłem wcześniej pod rondem kapelusza – kanciasty podbródek, szeroki nos, wydatne brwi – lecz w komnacie było zbyt ciemno.

– Balsam? – powtórzył mój pan.

– Tak, z odrobiną... – Vilder wzruszył ramionami – ...jakiegoś opiatu czy czegoś w tym rodzaju. Masz może laudanum?

Mój pan wydawał się skonsternowany.

– Jesteś chory?

– A muszę być, żeby o to prosić?

Mój pan zapalił świece w świeczniku przy drzwiach, a ja podczołgałem się bliżej, by przyjrzeć się gościowi, ten jednak podszedł do okna i stał się tylko ciemną sylwetką.

– No już, nie patrz tak na mnie – zwrócił się do mojego pana. – Po prostu z przyjemnością napiłbym się takiego balsamu. Czy to nie jest wystarczający powód?

Mój pan zabrał się do przygotowywania napoju; najpierw podłożył do pieca, a potem wziął z półek odpowiednie fiolki i starannie odmierzył poszczególne składniki. Wydawało się, że robi to niechętnie, ale wciąż przemawiał uprzejmym tonem.

– Londyn jest teraz bardzo ożywiony. Jak niegdyś Florencja. Ludzie mają tu prawdziwy zapach, prowadzą badania naukowe i dokonują tak niezwykłych odkryć, że czasami nie mogą spać z podniecenia.

– Naukowcy? – Vilder się roześmiał. – Jesteśmy najbardziej pomyłonymi stworzeniami pośród wszystkich stworzeń. Królami głupców. – Wskazał głową na miksturę, którą przyrządzał mój pan. – Może dodasz jeszcze trochę cykuty?

– Co?

– Żartuję, drogi przyjacielu. – Vilder znów zachichotał, po czym spojrzał za okno.

Białe zimowe słońce przesunęło się za las masztów nad Tamizą. Kiedy tylko gość odwrócił się tyłem, mój pan szybko ukrył pod stołem do pracy swój futerał z czerwonego aksamitu. Był to właściwie jego jedyny naprawdę cenny przedmiot, choć zawierał tylko dwie rzeczy: sześciokątną szklaną fiolkę z odrobiną szarego płynu na dnie oraz szylkretowe pudełeczko wielkości tabakiery, z kilkoma szczyptami szarego proszku,

całkowicie pozbawionego zapachu, niczym sucha ziemia. Dotąd widziałem tylko, jak patrzy na te rzeczy i sprawdza, czy są na miejscu, nigdy jednak nie używał ich w mojej obecności. Później okazało się, że owa substancja, zarówno w postaci proszku, jak i cieczy, zwana „jyhr”, odegra bardzo ważną rolę w moim życiu.

– Wiesz, jak ci ludzie doszli do bogactwa? – spytał Vilder, stukając łaską w okienną szybę. – Skąd wzięły się majątki zamorskich kupców i handlarzy cukrem?

– Zza morza?

– Ze śmierci. Zrodziły się ze śmierci. – Zerknął przez ramię na mojego pana, po czym znów odwrócił się do okna. – Z wielkiej zarazy sprzed dwóch wieków i z wszystkich innych, do których doszło później. Z liczebnego ograniczenia naszego gatunku. Na świecie zrobiło się znacznie mniej ludzi, ale wciąż było mnóstwo skarbów: żelaza, miedzi, kwarcu. Ta pustka powstała dokładnie w chwili, gdy pojawiły się przełomowe wynalazki. A kto mógł ją lepiej wypełnić, obrócić na własną korzyść niż handlarze srebrem i przyprawami?

– Dość ponury temat, nie uważasz? Minęło przecież tyle czasu...

– Dzięki zarazie ludzie stali się nie tylko bogaci, ale i mądrzejsi. Jeśli ja, zwyczajny człowiek, mam umierać w cierpieniach, pożarty żywcem przez wrzody pod pachami i w kroczu, podczas gdy moja skóra robi się czarna jak smoła, skoro moje życie ma się skończyć w taki sposób, to z pewnością najpierw chciałbym coś z niego mieć. A jeśli nie ma żadnego raju? Jeśli to kruche ciało jest wszystkim, co posiadam? Czy Michał Anioł sięgnąłby inaczej po dłuto? Czy Eurypides albo Platon

zapisaliby swoje myśli? Albo czy Spenser lub Donne nakreśli-
liby choć słowo? Wszyscy starali się oszukać śmierć.

– Przejechałeś taki kawał drogi, żeby rozmawiać ze mną
o zarazie? – W głosie mojego pana pobrzmiwał chłód, który
sprawił, że Vilder spojrzał na niego.

– Masz rację. Przyjechałem tu w konkretnym celu i od
razu przejdę do rzeczy. Wróć ze mną do Opalheim. Mam tam
dla ciebie zadanie.

– Opalheim?

– Pamiętasz jeszcze to miejsce?

– Owszem, pamiętam.

Vilder zachichotał cicho pod nosem.

– Ależ się zrobiłeś nerwowo...

– Nie pojedę do Opalheim. Moja noga tam nie postanie.
To twój dom i nie chcę źle o nim mówić...

– Ale właśnie mówisz.

Zaległa pełna napięcia cisza, w którą wdarł się dźwięk
pałacowych dzwonek. Mój pan sięgnął po jakąś buteleczkę,
wysypał z niej do dzbanka odrobinę proszku i zamieszał napój.

– Jakie zadanie?

Blask bijący z kominka rozświetlił na chwilę turmalinowe
oczy Vildera, który cały wyglądał jak wielki groźny cień.

– Chciałbym, żebyś dokonał konwersji.

– Nie.

– Nie mam dość odwagi, by osobiście przeprowadzić tę
procedurę, bo inaczej...

– I słusznie, nie powinienes tego robić.

– ...inaczej nie prosiłbym cię o pomoc.

– Powiedziałem „nie”.

– I to wszystko?

– Masz takie same kwalifikacje jak ja. Wiesz, jak to zrobić. Więc zrób to. Ja nie przyłożę do tego ręki.

Vilder spojrzał w moją stronę, uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Wygląda na to, że nie jesteśmy już w tak dobrych stosunkach jak kiedyś, mój przyjaciel i ja. Z czasem tak się dzieje.

– Kogo chcesz poddać konwersji, co? Kochankę? To jakiś twój kaprys? Żartujesz o cykucie. To mało zabawne. I chcesz, żebym rzucił na jakąś osobę przekleństwo, kimkolwiek ona jest? Nie zrobię tego. To okrutne i niemoralne skazywać inną żywą istotę na... by dowiedzieć się później, że się nią znudziłeś, tak jak nudzisz się wszystkimi swoimi kaprysami. Jesteś nieodpowiedzialny i psujesz reputację naszemu fachowi.

– On nie jest żadnym kaprysem.

– A ja nie jestem królem głupców.

Czułem, jak sierść podnosi mi się na grzbiecie. Nigdy dotąd nie słyszałem, by mój pan krzyczał. Otarł pot z czoła i zamieszał napój w dzbanku. Trzęsły mu się ręce.

– Wszystko w porządku, mój czempionie, wszystko w porządku – wyszeptał do mnie.

Sądził, że ten niespodziewany gość mnie wystraszył, ale on mnie głównie zaintrygował. Był jak postać wyjęta żywcem z jakiejś sztuki czy opery. Z jakiegoś dramatycznego, pełnego napięcia dzieła, gdzie w powietrzu wisi mord, a silne kobiety i niedoskonali bohaterowie szepczą w mrocznych pałacowych komnatach. W zachowaniu Vildera, w jego mowie i ruchach, w trudnych do określenia zapachach bijących od jego ciała było coś, z czym nie spotkałem się nigdy wcześniej, a i potem

spotykałem to rzadko. Nie miałem pojęcia, czy jest odważny i szlachetny – czy też jest potężnym złoczyńcą, który potrafi oczarowywać swoje ofiary. Właściwie jedynym równie niezwykłym człowiekiem był ktoś, kogo poznałem kilkadziesiąt lat później – Ludwik, Król Słońce Wersalu.

Minęła dłuższa chwila, nim mój pan odezwał się ponownie.

– Chciałbym ci pomóc. Naprawdę. – Tym razem mówił pojednawczym tonem. – Wiesz, że pomógłbym ci w każdej innej sprawie, w bardzo poważnych sprawach, gdybyś mnie o to poprosił, ale nie w takiej. Wiesz dlaczego. To jedyna niezmienna zasada w moim życiu. – Odchrząknął, przelał zawartość dzbanka do filiżanki i postawił ją na stole.

Vilder wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Masz rację. Nie powinienem być cię do tego namawiać. Ten pomysł po prostu mną zawiądnął i...

Teraz wiem, że Vilder był doskonałym aktorem, oszustem, który co innego mówi, a co innego myśli, ale wtedy zdumiało mnie, że tak szybko potrafił się uspokoić i zastąpić złość skruchą.

– Nie będę o tym więcej myślał. – Zdjął płaszcz i starannie ułożył go na oparciu fotela. – Mam lepszą propozycję: odnowmy naszą starą znajomość. Minęło zbyt wiele czasu, by chować urazy.

Vilder był tak miły, że udało mu się uspić czujność mojego pana.

– Nic nie uradowałoby mnie bardziej.

Uściskali się, prawie bez skrępowania, po czym Vilder usiadł i sięgnął po filiżankę z napojem.

– Bez względu na to, czy pochwalasz takie balsamy, czy nie, nikt nie robi ich lepiej od ciebie – oznajmił. – Może to tylko złudzenie, ale moje medykamenty chyba nigdy nie są równie skuteczne.

Powąchał napój, a potem czubkiem palca przeniósł na język jedną kroplę. Natychmiast wyraźnie się rozluźnił i opuścił ramiona. Kiedy balsam nieco przestygł, Vilder wypił resztę i osunął się w fotelu, niczym szmaciana lalka. Mój pan obserwował go z niesmakiem, jak mi się wydawało, lecz gdy napełnił dwa kubki winem i obaj zaczęli nim wznosić toasty, wzajemna wrogość w końcu zniknęła. Rozmawiali teraz jak przyjaciele: o chemii, o kopalniach złota, o Florencji i Rzymie, o zmarłej królowej.

Po północy, kiedy obaj byli już podchmieleni i przysypiali w fotelach, Vilder powiedział.

– Nazywa się Aramis, ten mój kaprys. Jest żołnierzem. I wspaniałym człowiekiem.

*

Obudził mnie brzęk metalu i muśnięcie światła na powiekach. Vilder sięgał właśnie po swoją laskę. Odgarnął do tyłu włosy i założył kapelusz, zaciskając dłoń na piórze. Spojrzał na miejsce, gdzie mój pan ukrył futerał. Uśmiechnął się, jak odniosłem wrażenie, ale nie podszedł do stołu. Kiedy zauważył, że nie śpię, uklonił mi się i po cichu opuścił pokój. Mój pan jeszcze spał, a ja zastanawiałem się przez chwilę, czy powinienem go obudzić, wpadłem jednak na inny pomysł: postanowiłem sam pójść za Vilderem. Wysunąłem się za drzwi, nim

zamknęły się do końca. Dostrzegłem cień strusiego pióra na dole schodów i ruszyłem jego śladem.

Vilder opuścił pałac i skierował się ku Tamizie. Padał śnieg, przesłaniając mi południowy brzeg rzeki – widziałem jedynie wirujące płatki i sylwetki skulonych z zimna przechodniów. Vilder maszerował po lodzie pewnym krokiem, nie ślizgając się ani nie chwiejąc. Wiatr gnał z cichym wyciem wzdłuż rzeki i targał chorągiewkami strusiego pióra, które pewnie by odleciały, gdyby stosina nie trzymała ich mocno w miejscu.

Dotarłem za Vilderem niemal do drugiego brzegu Tamizy. Pragnąłem, by się odwrócił i zauważył, że tu jestem, popatrzył na mnie w ten mroczny, niesamowity sposób, dzięki czemu raz jeszcze poczułbym jego dostojęstwo. W końcu przystanąłem. Vilder nie obejrzał się ani nie zwolnił kroku, a ja czułem niemal fizyczny ból, obserwując, jak znika w bieli.

Przez chwilę trwałem nieruchomo, jak pogrążony w transie, aż niebo z lekka pociemniało i wtedy uświadomiłem sobie, że jest okropnie zimno, a ja stoję całkiem sam na skutej lodem rzece. Odwróciłem się i zobaczyłem, że budynki Whitehall zniknęły całkiem za zasłoną bieli. Nagle zrobiło mi się okropnie wstyd, że w pewnym sensie zdradziłem swojego pana, podając się urokowi człowieka, który go tak niepokoił. Ruszyłem w drogę powrotną, lecz ponieważ zawsze byłem – i wciąż jestem – odrobinę przesądny, pomyślałem, że zostanę ukarany za swoją nielojalność, że lód pod moimi łapami pęknie i wpadnę do wody. Wyobrażałem sobie, jak zabiera mnie nurt, a moje ciało obija się o lodowy sufit, niesione do morza.

Chciałem jak najszybciej wrócić do naszej komnaty, do łóżka mojego pana, by wiedział, że go nie opuściłem, by mu pokazać, że nigdy go nie opuszczę, ale powrót na północny brzeg zajął mi całe wieki. Raz po raz musiałem przystawać i zbierać się na odwagę, roztrzęsiony i przytłoczony widokiem białej ściany śniegu, by przejść kilka kolejnych kroków. Kiedy wreszcie pojawiły się w oddali zarysy wież Whitehall, przyspieszyłem i już nie zatrzymywałem się więcej.

Przemknąłem przez dziedziniec, wbiegłem po schodach i wpadłem do komnaty – i odetchnąłem z ulgą. Pod kołdrą wciąż rysował się nieruchomy kształt, a w powietrzu unosił ten wspaniały, najważniejszy w moim życiu zapach – niczym wysoki las o północy, sztywny pergamin i szept sosnowej żywicy. Mój pan.

Doskoczyłem do niego, a on, na wpół śpiący, podniósł kołdrę.

– Wszystko w porządku, mój czempionie? – zapytał z uśmiechem, po czym dodał: – Aleś ty zimny... – I z powrotem zasnął.

Ułożyłem się w jego nogach, w ciepłe i szczęściu.

W moim domu.

*

Ileż to lat minęło od tamtego poranka na rzece?

Ponad dwieście. Inna epoka, początek mojego życia. Ponad dwieście zim nastało i minęło od tamtego czasu, ponad dwieście razy z północy nadciągały listopadowe wiatry, a ludzie wkładali futra i czapki i rozpalali ogniska na ulicach. Policzylem wszystkie te zimy i zawsze wypowiadałem głośno nową

liczbę, gdy nadchodzi pierwszy dzień nowego roku. Stąd znam swój wiek – dwieście siedemnaście lat.

Ów tajemniczy gość, Vilder, oczywiście powrócił do naszego życia, rzucając cień na wszystko. To właśnie on – jestem tego pewny – odebrał mi mojego pana.

Często myślę o Elsynorze, Whitehall i innych dworach, na których pracował mój pan. Myślę też o naszych późniejszych latach – o tych strasznych wydarzeniach w Amsterdamie – o maszerujących armiach, polu bitwy, krwawej grozie wojny. Wspomnienia wspólnie spędzonych dziesięcioleci wracają do mnie nieustannie. Śnię o nich co noc, tak żywo i intensywnie, że trudno mi uwierzyć, iż nie jest to rzeczywistość.

Jeśli chodzi o pytanie, dlaczego ja, zwykły pies, żyję ponad dwa wieki, trudno mi na nie jasno odpowiedzieć.

Oczywiście, gdybym znalazł mojego pana – który niczego nie udawał ani nie oszukiwał, tak jak Vilder, i który był człowiekiem szlachetnym, prawym i lojalnym oraz zbyt łagodnym i skromnym, by mówić światu o swojej wielkości – gdybym odnalazł mojego ukochanego pana, jeśli nadal gdzieś żyje, być może zrozumiałbym wszystko.